ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 20 lutego 1909 r. № 8.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

8

Zamknął się w swoim pokoju, zapalił lampę, siadł pod oknem przy długim stole, zawalonym albumami widoków, przewodnikami kolejowemi całego świata, Bedekerami, i nie wiedział, co zrobić ze sobą! Bezradnie błądził oczami po pokoju, zarzuconym rupieciami, probował przeglądać albumy, szukał niecierpliwie na półkach jakiejś książki, to grzebał między stosami papierów i wszystko leciało mu zrąk i wszystko zarówno go nudziło.

— Mikado jedzie! A ja! A ja? powtórzył z nagłym wybuchem gniewu.

— Czy pan mnie woła?—spytała Frania, zaglądając do pokoju.

— A tak, tak! Idź spać, już późno! Ja jeszcze trochę poczytam...

Niepokój nim zatargał, że jak nieprzytomny tłukł się po pokoju i rozbijał o sprzęty i graty, zalegające wszystkie kąty, wreszcie wpił głodne, zgorączkowane oczy w mapę, rozwieszoną na ścianie, i zwolna grążył się w niej i tak przepadał w tęsknej kontemplacyi, że niesłyszał krzątania się Frani, nie wiedział, że długo stała w progu, nie śmiejąc się odezwać, nie słyszał nawet przelatujących pociągów i świstów, jakby go porwał jakiś wicher kosmiczny i poniósł nad jakieś morza, rozmigotane w słońcu, i nad jakieś lądy, podobne do sinych chmur, że leciał niby ptak oszalały rozkoszą lotu i błądzenia w nieskończonościach.

— Panie Józiu, już bardzo późno!—zawołała lękliwie Frania.

— Zaraz idę, zaraz...

Odruchowo zaczął się rozbierać, ale, zdjąwszy kołnierzyk i marynarkę, zapomniał o tem, co miał zrobić, i znowu wparł się oczami w mapę, gdyż w plątaninie linii kolejowych, w chaosie nazw, zarysów granic, rzek, gór i krajów widniały podkreślone czerwonym ołówkiem nazwiska stolic niektórych, jakby tajemnicze, wiecznie kuszące wołania przestrzeni.

Paryż! Londyn! Madryt! Rzym!

I niby rubinowe wrota, rozwierały się przed jego olśnionemi oczami, niby święte wrota rajów, o których dusza śpiewała nieukojoną pieśń tęsknoty.

Wcisnął się w fotel i, powtarzając te nazwy z najgłębszą tkliwością, zamknął oczy i oddał się we władną i słodką moc marzenia.

Pociągi przelatywały z hukiem, trzęsły się ściany, szczękał klosz lampy, świsty rozdzierały powietrze, potężny rytm nieustannego ruchu przenikał go nawskroś i po jakimś czasie zdało mu się, że już pędzi całą siłą pary..

Nie otwierał oczów, a widział przesuwające się z szaloną szybkością ciche krajobrazy nocy zimowej, przeogromne, zaśnieżone pola, niebo, zasiane blademi gwiazdami, uśpione, zaledwie dojrzane wsie, niekiedy jakaś stacya jawiła się na mgnienie' niby zbłąkane widmo, i przepadała, czasem w mrocznych pustkach zagrały łuny nad jakiemś miastem nieznanem, i znowu była tylko noc nieprzenikniona, milczenie, i słupy telegraficzne uciekały w tył jakby jeszcze gwałtowniej, i uciekały posępne lasy, i uciekały pola, odziane w śnieżne całuny, a pociąg wciąż pędził naprzód z rozszalałym krzykiem potęgi.

Józio całe godziny unosił się tak gdzieś w nieokreślonych lotach marzeń i, ukołysany rytmicznym, monotonnym hukiem kół, zasnął znużony. Wkrótce zagasła lampa, Frania spała w drugim pokoju tak cicho, jakby bez oddechu, na dole zapanowało już głuche milczenie, tylko z linii odzywały się niekiedy trąbki dróżnicze i pod oknami nieustannie przelatywały pociągi: leciały zgorączkowane, ziejące parą i iskrami, rozmigotane światłami, zadyszane—i niby huragany, rozlatywały się na wszystkie strony świata i ginęły w posępnej ciszy mroków, że tylko bure, skołtunione dymy tłukły się po oknach...

Dopiero nad ranem pierwsza przebudziła sie Frania.

— Co pan tak marudzi, już

strasznie późno! Zaczęła sennie grymasić.

Nie słyszał, spał, mocno wciśnięty w głęboki fotel.

— Żeby całą noc czytać! Kiepski waryat! Mruczała, zasypiając z powrotem.

Obudził się dopiero o ósmej, jak zwykle, tylko bardziej znerwowany, niż zwykle, łaził po mieszkaniu jakiś zły i chmurny, spoglądając z urazą na Franię, która cichutko narządzała herbatę, nie śmiejąc ust otworzyć.

— Łazisz, jak zmokła kura, i nawet nie zakrzekorzysz! — zadrwił zniecierpliwiony.

— A bo pan się czegoś dąsa i nie śmiałam się odezwać.

Roześmiał się przyjaźnie, że przysunęła się z czułemi wymówkami.

— Tak mi było samej przykro.. tak czekałam... a może pan już nie chce Frani....

— Przynajmniej raz wyspałaś się porządnie, bo nikt ci nie przeszkadzał.

— Ale dzisiaj musimy sobie powetować, nie będzie pan już czytał do rana, nie...

— Może, ale tymczasem nie zawracaj mi głowy! Nie cierpiał mizdrzeń i czułości.

Odskoczyła zadąsana, niby psiak, boleśnie kopnięty.

— Kiedy tak, to zabiorę swoje gałganki i pójdę się bawić na inne podwórko.

Milczał, zapatrzony w okno, na rezerwę, manewrującą po stacyi.

— Jak Bozię kocham, ale z panem tak ciężko dojść do ładu, niby z rodzonym mężem. Przemówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu! A bo nie tak, co? Pan Mikado—to facet całkiem na inszy fason! Jak zły, to zaraz zeklnie, wykrzyczy, zpsiekrwia i gotów nawet wjechać na cyferblat, ale zato, jak jest w humorze, to tylko śpiewa, figluje i ściska, że trzeszczą żebra, i gotów oddać ostatnią koszulę. Z takim to zaraz człowiek wie, zkąd wieje i gdzie dmuchać!

— Jeżeli chcesz, to zabierz sobie wszystkie rzeczy z mieszkania! — rzekł niespodzianie.

— Zawracanie kontrafałdy! co pana znowu ugryzło?

— Zabierz wszystko, wszystko— i uciekaj odemnie, uciekaj! Oczy mu rozbłysły jakoś dziwnie, twarz zbielała, i wargi się zatrzęsły. Przestraszyła się ogromnie.

— Co się panu stało? Może pan chory? Polecę po jakie krople...

— Nic mi nie jest i nic mi nie potrzeba!—rzucił twardo i zabrał się do mycia.

— Może sprzątnąć tamten pokój, dobrze? Nie wiedziała już, co zrobić ze sobą.

— Dobrze, nie tykaj tylko papierów i książek!— zawołał za nią niespokojnie.

— Ależ to lamus! Prawdziwy lamus!—wykrzykiwała co chwila.

Jakoż istotnie pokój był tak zawalony, że ledwie się było można przecisnąć wśród przeróżnych rupieci; stały tam jakieś przedziwne biureczka z resztkami bronzów; jakieś wyzłacane kiedyś kanapki, całe w strzępach obić; jakieś szafeczki i stoliki, powykręcane dziwacznie, jakby w menuetowych dygach; jakieś obrazy bez ram, obtłuczone porcelany, uprzęże, nabijane pozieleniałym mosiądzem, siodło o wysokich kulbakach, zardzewiałe strzelby i pałasze, kolekcye nadzwyczajnych cybuchów, pozwijane dywany, stosy roczników jakichś pism, a wszystko to zmieszane, jak groch z kapustą, i pokryte wieloletnim kurzem, miałem węglowym i niedopałkami papierosów.

Na jednej ze ścian, pomiędzy portretami wisiał ogromny wieniec z kłosów pszenicznych, przewinięty spłowiałemi wstęgami.

— To pewnie jeszcze ze dworu? Jabym wyrzuciła na śmiecie tę graciarnię.

— Nie ruszaj, niech sobie odpoczywają w pokoju!—odezwał się żartobliwie.

— A jaki wspaniały kufer! O, i waliza zupełnie nowa!

— Nie wyciągaj, niech stoją pod stołem, mniej się tam kurzą.

— Czy pan się gdzie wybiera? —spytała nieco później, nalewając mu herbatę.

— A tak moja, najdroższa, wybieram się trochę w świat!

— Daleko?

— Bardzo daleko, może nawet do Ameryki.

— I do samej Ameryki dyrekcya daje bilety?

— Naturalnie, zresztą mniejsza o bilety, głupstwo.

— A hopki się już ma na drogę?

— Będą, to bagatela! — odpowiedział z wielkopańską niedbałością.

— Jak Bozię kocham, ale zupełnie nie rozumiem po co ludzie jeżdżą za granicę?

— Po co? Głuptas jesteś, że tego nie rozumiesz! Po co? Zawahał się nieco.

— Przecież i ja coś wiem, bo już byłam za granicą. Pan Mikado wziął mnie raz do Katowic. Jakeśmy siedli do pociągu, to myślałam, że umrę z radości, aż się zbeczałam, i byłam pewna, że Bóg wie, co zobaczę. Przyjeżdżamy, patrzę, wytrzeszczam gały, a za tą zagranicą wszystko tak samo, jak i u nas, tylko—że szwargoczą po niemiecku. Zupełnie mi się nie podobało—i domy mają takie same, i deszcz padał tak samo, jak u nas, i błoto było, jak u nas! Mają tylko nadzwyczajne sklepy i można tanio nakupić różnych śliczności. Kupiłam sobie bluzkę i materyału na suknię, ale potem mieliśmy awanturę, bo jakiś szwab łaził za nami i sypał do mnie takie perskie oko, że pan Mikado trzepnął go w facyatę!

DCN.

Z przyczyn, niezależnych od redakcyi, zmuszeni jesteśmy przerwać druk noweli Zygmunta Bartkiewicza p. t. „63". Jak wiadomo, w procesie, wytoczonym autorowi „Słabych serc", nowela ta uznaną została przez warszawską izbę sądową za niepodlegającą karze. Obecnie jednak prokurator założył protest przeciw temu wyrokowi, i utwór naszego kolegi powtórnie będzie sądzony.

Ludwik Romocki.

TWARDOWSKIEGO ZAPUSTY.

Kasztelan Samiel Twardowski w szubie sobolowej na poręczowem, ogromnem krześle, nogi w długich żółtych butach z kręconemi nosami wyciągnąwszy ku ogniu, siedział przed kominkiem, na którym paliły się szczapy smolne, sycząc żywicą; z wijących się w żarze drewien wystrzeliwały cienkie noże ogniste, jak żądła gadzin, wydając bryzg światła na olbrzymią ciemną komnatę chęcińskiego zamku, na sępie rysy brązowej twarzy i czarną brodę Samiela. Wenecki aksamit ubrania podkładał się czarno pod łańcuch złoty, nie zakończony krzyżem, lecz misternie z kości wyrzeźbioną trupią głową, wielkości piąstki dziecinnej.

Z dworu dochodził poświst wiatru północnego, świszczącego straszniej jeszcze wokoło grobowej ciszy komnaty.

Samiel dumał. Oczy jego czarne, duże, zda się, mury przenikające, patrzyły w dal, smutne.

Na drugiej stał życia trzeciej, srebrne nitki wiły się w brodzie, a chociaż ten, którego mistrzem za żywota już zwano, dosiągł, czego chęć i duma ludzka pragną, bogactw i godności, przez wdzięcznego Zygmunta Augusta mu nadanych, zdawał się sam sobie nieszczęśniejszym od ostatniego z nieszczęsnych. A jednakże, jak wiele dały mu te księgi, których klamry z srebra i mosiądzu pobłyskiwały, gdy płomień strzelił jaśniej, u ścian. Czarnoksiężnikiem go mieniono. Uśmiechał się litośnie. On zgłębił wiedzę Greków i Egipcyan, znał zioła każdego leki i kamienia każdego truciznę, i wpływ dziwny księżyca a gwiazd na los ludzi, i działanie myśli nawet, przenoszącej pragnienia, jak ożywiającej wolę słabnącą. A że chwytał się i środków innych, niegodnych nauki,— ha, czyż bez przebaczenia postąpił, czy gorzej od innych wielkich tego świata, wodzów ludu i królów, co posiedli najlepiej sztukę mamidłami świecenia ludziom, a których Liwiusz i Plutarch sławili cnoty? Tak, wskrzeszając zwierciadłem podwójnem obraz ukochanej małżonki najhojniejszemu z królów? Jemu dał chwilę szczęścia, sobie przysporzył chwały i bogactw. *Mundus vult decipi*... Ale i karę dał mu los za tajnie, w które owijać musiał swój żywot, nie dopuszczając do myśli swych powiernika, ni brata, ni przyjaciela, sam, zawsze.

Bo najsroższą karą jest samotność.

Przeciągały przed nim lata dawne, lata młodości złotej, przeszłe, niepowrotne, jak rzeki fale, co w dal pobiegły, zniknęły, zginęły i nigdy nie powrócą. Prożno je przytrzymać wzrokiem, próżno przytrzymać myślą teraźniejszość, przywołać przeszłość i teraźniejszością ją zrobić.

Kasztelan westchnął. A na to westchnienie wybiegła z kąta suka bura, mała, włoskiej rasy, i zaczęła się łasić do niego.

„Tak, ty mnie kochasz, ty jedna,— ludzie..."

I bawiąc się z nią, podniósł się zmęczonym ruchem. Spojrzał na kosztowną klepsydrę, z przejrzystego ametystu, leniwie jakby, lecz bez ustanku piasek toczącą, a wskazującą i dni, i miesiące. „Czas zapustny".

Z półki wziął kryształ, rznięty trójkątnie, zapieczętowany żywiczną masą. W nim dyabełek czarny w cieczy białej okręcał się w tańcu wkoło siebie, to podnosząc się ku szyjce flakonu, to opadając na dno. Figiel, gwoli igraszce przez wielkiego Kartezyusza wynaleziony, a który Marcin Miechowita przywiózł do Polski.

„Co ty mi radzisz?"

Wsłuchał się sam w siebie.

Nie-wia-stę.

Tak usłyszał wyraźnie.

Czy to ziewnięcie suki, czy trzask drzewa, czy wichru poświst złączyły się na dźwięki, formujące razem ten wyraz, czy widok dyabła Ewę przywiódł na pamięć, a zmysłów omyłka utworowi myśli być słuchu wyrazem kazała,—a może zgoła bezwiednie, jak czasem w zamyśleniu bywa, słowo urywane, niełączne z myśli biegiem, z ust wyszło,—Samiel rozśmiał się.

...Niewiasta miałażby mi dać to, com stracił doszczętnie, życia chęć, uciechę i ochotę? Niewiasta? — Znam ja niewiasty! I wielkie, i małe, i, jak one siedem lat urodzaju, pożywne i, jak drugich siedem, chude, i takie, co chodzą z oczami spuszczonemi ku ziemi, a za sznur korali nie tylko mnie, ale, jakem Twardowski, i dyabłu samemu duszę sprzedać gotowe, i te, co kilkoma językami władają, a swoim najbardziej...

Jak z pod ziemi, wyrósł przed nim wierny sługa, Hrehor, kozaczek.

—Żali nie znam ja jeszcze jakiej niewiasty,—jak myślisz, Hrehorze?—rzekł, kładąc mu ręce na ramionach.

Kozaczek zawahał się chwilę.

— Nie znasz Wasza Miłość—brzydkiej!

— A jakaż najbrzydsza w okolicy?

— Wojszczanka Balbina Kosogórska... brr... i otrząsnął się.

— Więc nie chciałbyś jej widzieć swoją panią?

Hrehor aż cofnął się dwa kroki, następując suce na ogon, że zawyła przeciągle.

— Jedziemy jutro do niej w zapusty!

I ten szalony humor z czasów, gdy przekupkom na Kleparzu straganу przewracał, a na kulającej się beczce przed złośliwie za nim goniącemi podwikami odjeżdżał, wrócił mu na chwil kilka.

. . . . . .

Szarpnęły cztery rumaki kare, jak kruki, przedniemi kopytami ku niebu się wspinając, zadniemi iskry krzeszą z kamienistej drogi, zatańczyły chwilę w miejscu, wpół w powietrzu, aż runęły razem naprzód, jak gnane pędem burzy, porwały z sobą ciężką karocę, niby piórko, koła od ziemi unosząc, odrywając, aż Hrehor, przyczepiony z tyłu, mało co nie zwalił się na ziemię świętą. Jezus, Marya! przeżegnał się. Barczysty woźnica lejcami ściągnął, parsknęły kare i już łagodniej, ale zawsze ostrym biegiem, uniosły ich w dal.

Samiel w zapusty jedzie.

Jednakowoż dyabeł znać pazur maczał w tem przedsięwzięciu, bo niedaleczko za Chęcinami, a oś pękła u lewego koła od przodu. Zaś zaczem przywołany z przydróżnej kuźni kowal szkodę naprawił, wieczór zapadł, i nos panny Balbiny, próżno oczekującej zapowiedzianego gońcem od rana kasztelańskiego przyjazdu, na równi z cieniem wieczornym przedłużać się zaczął. Tato zasię, imć pan wojski pińczowski, przystrojon już od rana w odświętną bekieszę z węgierska, z pętlicami srebrnemi na zielonym jedwabiu, już tylko co, a despekt podejrzywając z niedoszłej, a zapowiedzianej visitae, gniewem obiecywał buchnąć, jako ten buhaj, tępy i leniwy, aż mu krasne sukno pod same nozdrza podsuną. Tymczasem jednak pan Samiel, że znał sekreta dusz ludzkich na wylot, pchnął Hrehora naprzód, by o przyjeździe pana pewniejszą wiadomość zaniósł, a niecierpliwość oczekującą mitygował. Przyczem sam tę zwłokę—nie żeby za zbyt niefortunną uważał, gdyż temże niecierpliwiej mienił się być przez pannę oczekiwan.

Szlachta kuligiem, jako że w zapusty, ino nie w maskach, bo wojski obyczaju włoskiego nie lubił, zjechała, a nie bez intencyi akkomodowania się potężnemu kasztelanowi, obstąpiła wysłańca, który do izby świetlnej, chociaż tylko na próg, wpuszczon, śpiewał pochwały swego pana, miód słów sącząc wkoło siebie.

— Jako anioł piękny, jako mocarz silny, jako król bogaty!

— A siła tego złota?—spytał podsędek Szmolibocki, co był mąż dociekliwy.

— Skrzyń z niem stoi tyla, że piwnica pod wierzch zapchana,—a co marmuru w zamku, a zwierciadeł zdobnych, a bogactw wszelakich!

Podsędek aż cmoknął.

— Żaliż jednak prawda, spytał pobożny Chwalibóg, miecznik sandomierski, że z nieczystą siłą paktuje?

— Czasem dobrze i takiemu świeczkę zapalić, wywijał się dyplomatycznie Hrehor.

Aż z brzękiem zatoczyła się kolebka Samiela przed ganek.

Wprędce sobie serca szlachty, którą zwykle zdaleka trzymał, nieufnej z początku, ująć potrafił gładkością a dwornością obyczaju, powagą i godnością osoby.

„Przypadł mi do gustu wasz kasztelan“, mówił pan rotmistrz Marcin Żychliński, człowiek wojskowy, z Wielkiejpolski po zaciągi kwarciane aż tu przybyły, „jednę z nim jeszcze próbę zrobim, która łacno okaże, gdyby zaś niesamowit miał być, jako o nim gadano, na dnie kielicha albo dyabeł zeń wyjdzie, jeżeli w nim utajon jest, albo, co tuszę, godnym aestimationis mężem się zgoła okaże.“ Trochę na mówcę z podełba spojrzano, bo sam się nie taił, że w błędach aryańskich tkwił, ale racyi mu nie odmówiono.

„Jaśnie wielmożnego kasztelana zdrowie“, pił srebrnym kielichem gospodarz.

„W waszmości ręce, panie mieczniku“, odpowiedział kasztelan.

A panna w komorze, przez szczelinę od drzwi patrząjąc, oczyma łypała. Co tem dziwniejszy przedstawiało widok, że z przyrzeczenia od wiosen czterdziestu lewem ku Stwórcy dziękczynnie, prawem ku ziemi pokornie zwykła była spoglądać. Nosek jej cienki, a w środku wklęsły, wyglądał, jak gdyby go kaczka zdeptała zapalczywie, a usteczka, nawet gdy je sznurowała, dzieliły całą twarz wyraźnie na dwie połowy. Złośnicą przytem była taką, że od czasu do czasu truła się własną śliną, poczem obłożnie chorowała. Niewiasty też, w koło niej zgromadzone, dziwnem znajdowały upodobanie kasztelana. „Widno, dużo nagrzeszyć musiał, że na taką pokutę skazan jest“, szeptały między sobą.

A mężowie i ojce w ten czas pili nienajgorzej. Bo Twardowski praktyk był i odrazu większego roztruchana zażądał, z szkła brzuchatego, na którem ryte było:

Ludzie mi wzieli noge,
Ja ym gorzej zrobie,
Ony mi wzieli jedne,
Ja ym wezme obie,

i olbrzymią tą kulawką niedługo, a słabszych pod stół zapędził. Pili tak dobrze godzin parę, że i niewiasty zaczęły się niecierpliwić w komorze, tem bardziej, że już nóżkami na tany przebierały. Aż wreszcie, gdy braci wszystkiej z czupryn się kurzyć poczęło, i w zgiełku a rozgardyaszu, każdy swoje wywodząc, o świecie bożym zapominał, a jeden li pan rotmistrz Żychliński Samielowi, jak sam dyabeł, przechylającemu kielichy, kroku statecznie dotrzymywać wystał, co, jako kalwin, nie dziwota,—uznał Samiel czas ostatni się pannie wojszczance zaprezentować. Prowadzon tedy przez wojskiego, otrzeźwionego trochę przypomnieniem o domniemanym celu wizyty kasztelana, próg izby niewieściej przestąpił. Aliści, chociaż bywałemu po świecie, na widok takiej szpetoty wrzkomo się zrobiło, aż drgnął. Przyznać w duchu musiał, że nawet w najdalszych peregrynacyach swoich nic równie brzydkiego nie oglądał.

— Wino Waszej Miłości do głowy uderzyło?—wpadła nań obcesem panna, ledwo za grzeczny wstępny kompliment z dąsem podziękowawszy. Spojrzał na nią kasztelan, rozrywkę sobie obiecywał, tu odrazu na złość niechętną trafiał. Opuściła go chwilowa wesołość, wolałby był zostać sam w swoich murach. A tu Balbisia, folgę językowi popuściwszy, używała sobie dalej.

— Mężczyźni naród gruby i prosty są, miarę w wszystkiem przebierający.

— Właśnie też temu cielęciu mnie uczyć, — pomyślał. Ale dziewka, rzeczywiście, jak cielę, gdy, ogona zadarłszy, bryknie i oślep pędzi naprzód, mełła dalej:

Przyczem zawsze mówić gotowi o delikatnym miłości afekcie...

— U,—jęknął Twardowski.

— Co to Waszej Miłości?

— Nic to, — ząb trzonowy mnie zabolał.

— Pewno bóle w kościach strzykają z wiekiem — i już nowa zatruta strzała leciała na nieszczęśnika.

— Z kim się kto zadaje za życia, i w kotle gorącym z tym w komitywie będzie.

— To jest z dyabłami rogatymi,— wolej, niż z dziewką brzydką i głupią,— i głową raczej pięknym sandomierzankom, jako kwiatuszki, wkrąg siedzącym, niż imć pannie Balbinie się skłoniwszy, wyszedł pan Twardowski zniecierpliwion z komnaty. Ale za nim w te tropy poleciał pisk, niby ciężką stopą przyduszonej myszy, i w nim bezładne wyrazy: „Pohańbił, ojcze, wstyd!“ I już wojski, popchnięty przez jedynaczkę, niezbyt trzeźwy, a bez namysłu na słowo „hańba“ za kord chwytający, ukazał się za nim. „Pohańbił, pohańbił“, krzyczała wciąż panna Balbina. Ruszyła się szlachta od stołu, groźna, szable z pochew wyzierać zaczęły. A bijąca od Samiela, który stał na środku izby, gdy dostęp do drzwi miał zamknięty, świadomie pycha wzburzała tamtych jeszcze więcej. „Szlacheckiemu dziecku despekt uczynił niestarty, — na szable go!“ Próżno pan Marcin Żychliński, jako świadek zaszłej alterkacyi, mitygować chciał.

— Pasy z niego drzeć,—krzyczał najzawziętszy podsędek Szmolibocki, podnosząc roztruchan, aby nim cisnąć na Samiela.

Ale wtem ten, krok postąpiwszy, oczy wpił w podsędka, taką grozę budzące, choć spokojne, że napastnik stropił się.

— Daj waść to,—rzekł Twardowski głosem cichym prawie, ale dziwnie wyraźnym i rozkazującym. Tamtego palce ścisnęły się chwilę kurczowo wkoło szkła, ale już mu je Twardowski z dłoni wyjmował.

— Lekko, lekko,—mówił przytem, jak do psa, którego myśliwy uczy zwierzynę podawać. A szlachcicowi źrenice rozszerzały się, prawica zawisła, wyciągnięta nieruchomo w powietrzu, palce lewej w kołtunie swej ryżej bródki zatopił. Samiel, wciąż wpatrując się w niego, roztruchan mu pod same oczy podsunął, w którym światło łuczyw igrało blaskiem olśniewającym.

— Iżeś waść zuchwale rękę podnieść śmiał na większego od siebie w szale pijanym, — ciągnął dalej tym samym głosem przenikliwym a jednostajnym, jakby perswazyi pełnym, — karę słuszną mieć musisz, wszakże prawda?—I szlachta, wkrąg około nich zbita, wobec niezwykłego widowiska ucichła zupełnie, zauważyła, jak Szmolibocki usta otworzył, coś zabełkotać próbował, potem głową kiwnął. Szmer się zrobił wśród koła, dziwu, indygnacyi, ale mistrz po nich okiem powiódł i zamilkli.— Mógłbym cię może życia pozbawić,—brzmiał dalej równym rytmem jego głos, a na twarzy tamtego wymalował się strach tak okropny, że aż patrzeć było przykro,—lub zmysłów cię pozbawić, czy na zawsze, czy na długo, alem nie kat, ino sędzia. Do świtu tak będziesz z ręką skamieniałą, ruszyć się z miejsca nie mogąc, stał. Czy mnie rozumiesz waść? Powtarzam ci, do rana, z ręką w kształt drogowskazu, za mną wskazując, a iść nie mogąc,—taki rozkaz mój. — Podsędek, którego twarz stężała, jak martwą, była, powiekami z trudnością poruszył. — Dobrze, widzę, że słuchać chcesz. Gdy pierwszy kur zapieje, zbudzisz się, w potach śmiertelnych cały, zbolały i zbit, jakby cię z koła zdjęto, abyś wieczną naukę miał. Wy zaś, waszmościowie,—zwrócił się wokrąg,—nie ważcie się budzić, ni cucić, ni poruszyć go, bo wtedy w konwulsyach strasznych, jak powietrzem dotkniętemu mu skonanie. Zasię nie będzie mu nic, jakom rzekł. Czołem waszmościom,—do mnie Hrehor!

Szlachcice pozostali w osłupieniu.

Kasztelan wracał w myślach pogrążon. Nie ciężył mu arbuz olbrzymi, aż błony kolasy rozpierający, który z sobą wiózł, ni pannicy złość, ni szlachty głupota. Ale rozrywki szukał między ludźmi, czarnym myślom tamy, może celu w życiu, serca, może czego więcej, sam nie wiedział.

Nie znalazł. Tyle, że zgłębił raz więcej naturę ludzką. Ale czem wypełnić życia czczość i próżnię? I wtedy to odezwała się w nim myśl z lat dziecinnych szukania wiarą tego, czego wiedzą zyskać nie można. Jako też, wiadomo, w pobożności skończył, która, o ile nie w afektacyę przechodząca, Bogu i ludziom miła. Po zapustach popielec.

Scena 3.
Ludka, Kazimierz, Brukwa.

BRUKWA *(postarzał się znacznie, ręce trzęsą mu się nieustannie, oczy niespokojne, po sposobie mówienia znać upadek sił mózgowych. Nie mówi, lecz ględzi).* — Dzień dobry pani, dzień dobry... Gromadzą się na ulicach, przylegających do placu. Tymczasem spokojnie, ale co to za spokój!.. Po zachodzie słońca wszystko zsypie się na plac. Pan wie, co oni mają postanowić na tym wiecu?

KAZIMIERZ *(poważnie).* Wiem.

BRUKWA *(do Ludki).* Chcą owładnąć fabryką. Mowią, że zarząd nie ma prawa zamykać warsztatów, że fabryka powinna należeć do tych, co w niej pracują... Jeśli nie oddadzą dobrowolnie, to wezmą siłą! Uważa pani! co za szaleństwo! Tyle wojska sprowadzili, a oni myślą... Ja bo już z tego nic nie rozumiem... *(zmienia ton, do Kazimierza).* Oni tam i przeciw panu krzyczą.

LUDKA *(niespokojnie).* Przeciw niemu?

BRUKWA. Komu oni darują! I co z tego będzie, panie Kazimierzu, niech pan powie, co z tego będzie?... *(Kazimierz robi gest, że nie wie).* Ja bo, proszę pani, od tego wypadku nie mogę zebrać myśli. Pani wie, jak to było?

LUDKA *(chciałaby zapobiedz).* Opowiadał nam pan.

BRUKWA *(nie zwraca uwagi).* Wezwali mię do zarządu. Jadzia chciała pójść, chciała przejść się po mieście w nowej sukience. — Poczekam— mówi — przed bramą, tata długo nie będzie siedział.—Więc cóż miałem zrobić? Zgodziłem się. Przychodzimy, ja idę na górę, właśnie główny inżynier schodził po schodach, na dole powóz na niego czekał.—Niech pan przyjdzie jutro, panie Brukwa—mówi — dziś nie mam czasu.— Bardzo grzecznie, podał mi rękę, ja zostałem trochę w tyle, żeby mu się nie narzucać, zatrzymałem się w bramie, aż tu nagle straszny huk, rzuciło mię o ścianę, straciłem oddech! *(po chwili).* Jemu się nic nie stało, powóz rozleciał się w kawałki, ale nikomu się nic nie stało. Tylko Jadzia! Pani wie...

KAZIMIERZ *(widzi wzruszenie żony, niecierpliwie).* Wiemy, wiemy, panie Brukwa!

BRUKWA *(j. w.).* Został sam tułów... ani nóg, ani rąk, taki straszny krwawy tułów... sukienki ani śladu... *(trzęsie się cały).*

LUDKA. Niech się pan uspokoi. Pan wie, jak wszyscy współczujemy.

BRUKWA. Ciągle mi się teraz ręce trzęsą. Nie mogę pióra utrzymać w palcach, i myśli zebrać nie mogę...

LUDKA. To przeminie. Trzeba mieć tylko odwagę.

BRUKWA. Kiedy ja już pióra nie utrzymam w palcach... ręce się trzęsą i taki niepokój .. Dlaczego to właśnie spadło na Jadzię, cóż ona temu winna? Jedenaście lat skończyła w lipcu, uczyła się dobrze... *(zmienia ton).* Mnie się zdaje, że ja już w biurze nie będę mógł pracować... Nic nie mogę spamiętać... Wczoraj żona mówi... pani wie, ona wciąż myśli, że Jadzia wyjechała do ciotki. Nie można jej powiedzieć... *(do Kazimierza).* Czy pan myśli, że oni teraz już na dobre zamknęli, że nam pensyi wypłacać nie będą?

KAZIMIERZ. To jest możliwe.

BRUKWA. A z czego my żyć będziemy, proszę pana? Skądże ja wezmę, żeby dzieciom... i kwartał za mieszkanie?

KAZIMIERZ *(łagodnie).* Wszyscy jesteśmy w tem samem położeniu *(zegar bije szóstą).*

BRUKWA *(zachwycony).* Ach, nowy zegar! Jaki śliczny.

LUDKA *(smutnie).* Chciałem zrobić Kaziowi niespodziankę, ale teraz... *(urywa).*

BRUKWA *(już zapomniał o zegarze, o wszystkiem, prócz troski, która go toczy).* Nie mogę na miejscu usiedzieć. Co oni znowu dzisiaj zrobią? Chłopców kazałem zamknąć na klucz, żeby nie wyszli na ulicę. Pani rozumie, ja ciągle widzę Jadzię, jak tam... bez nóg, bez rąk... z sukienki ani śladu... *(spojrzał na furtkę).* O, ktoś idzie do państwa *(w furtce stoi dwóch robotników, Kazimierz podchodzi do nich i rozmawia półgłosem).* Ja już pójdę. Przepraszam panią, pani zawsze taka dobra *(całuje Ludkę w rękę).* Prawda, żona kazała mi podziękować najpiękniej za powidła. Z tem właściwie przyszedłem, tylko, pani rozumie, nic myśli zebrać nie mogę *(żegna się).* Do widzenia *(idzie do furtki, żegna się z Kazimierzem i wychodzi).* Do widzenia!

KAZIMIERZ *(do robotników).* Proszę bardzo. *(Ludka mierzy go niespokojnym wzrokiem).* Ludka... *(daje jej znak, iż chciałby, aby poszła do innego pokoju).* Możemy zostać na ganku, czy też wolicie przejść do pokoju?

DELEGAT I. Możemy i tu .. Dziś niema się co kryć. *(Ludka znikła w głębi mieszkania. Kazimierz i dwaj delegaci wchodzą na ganek).*

Scena 4.
Dwaj delegaci, Kazimierz.

KAZIMIERZ. Siadajcie, towarzysze *(siadają).* Czem wam mogę służyć?

I DELEGAT. Rzecz ma się tak: wśród naszych zaczynają mówić, że pan nas opuścił, że pan nie idzie z nami. Nawet Żegień nie chciał wcale przyjść. Ale myśmy temu nie chcieli wierzyć. Prawdę powiedzieć, to rozumiemy, że póki pan nas prowadził, jakoś było składniej i porządniej.

2 DELEGAT. Pan nas zorganizował, uświadomił, i gdy walka zaczęła się na dobre, miałby nas zostawić samych? Myśmy w to nie mogli uwierzyć. I dlatego przyszliśmy pytać, czy pan przyjdzie na dzisiejszy wiec, czy pan będzie mówił?

I DELEGAT. Tak. Właśnie... *(chwila milczenia).*

KAZIMIERZ *(po krótkim namyśle).* Jestem sam szczerze rad, towarzysze, żeście przyszli. Jestem rad, bo na wielkich zgromadzeniach łatwo jest być *źle* zrozumianym, zaś mnie zależy na tem, byście *wy* zrozumieli mnie dobrze *(mocniej).* Na dzisiejszy wiec nie pójdę.

OBAJ DELEGACI *(poruszeni).* Nie przyjdzie pan?

KAZIMIERZ. Nie. Bo to, co mógłbym powiedzieć, albo nie byłoby zrozumianem, albo nie byłoby wysłuchanem. Powiedzieliście, żem was prowadził. Tak! Ale organizacya zeszła z tej drogi, którą ja prowadziłem i którą prowadzić mogę. Do walki byłem gotów, do walki na życie i śmierć! Ale te pokątne morderstwa, zamachy

i napady, których ofiarami padają najczęściej niewinni, te... wywłaszczenia, które nabrały charakteru zwykłych rabunków...

2 DELEGAT. *(porywczo)*. Proszę pana, co tu mówić! Gdzie drwa robią...

KAZIMIERZ *(poważnie i stanowczo)*. Słyszałem nieraz to przysłowie. Ale ja mogę ręce zwalać krwią: nie będę ich brudził błotem. Teror może być usprawiedliwiony tylko istotną, wyjątkową potrzebą. Z szerokiego gościńca, wytkniętego jasno, z drogi prostej, choć może dalekiej—zeszliśmy na manowce, w których gubi się nasza świetlista idea, zeszliśmy w trzęsawiska, niebezpieczne i zgubne.

I DELEGAT. My sami przecież wolelibyśmy, żeby pewnych rzeczy nie było. Ale czy jesteśmy w stanie zapobiedz? Mało naszych gnije po więzieniach, mało ich zginęło i codzień ginie? Cóż znaczy życie jednostki? Cóż znaczy nasze życie—wszystkich razem?

2 DELEGAT. Musimy iść naprzód. Dziś nie czas stawać w drodze.

KAZIMIERZ. Rozważmy spokojnie. Cóż będzie na dzisiejszym wiecu? Czy nie wiecie, kto będzie przewodził, czyje frazesy najsilniejsze wywrą wrażenie? Agitatorów—o pustych głowach, jak puste garnki. Cokolwiek z nich wyjdzie, wychodzi grubo i dudniąco, obciążone echem wielkiej próżni... Im więcej dudniąco, tem mocniej szarpnie nerwy, tem gwałtowniej przemówi do wyobraźni. Wy już dziś nie myślicie o tym gmachu, który nam wznosić trzeba!... myślicie tylko o tem, co należy niszczyć... A przeciwnie, gdy chodzi o przeobrażenie całego ustroju społecznego, masy muszą jasno zdawać sobie sprawę, co należy robić, nie mogą iść na oślep. Minęły czasy rewolucyi, dokonywanych przez garstki ludzi, za któremi szły tłumy... Czy nasi towarzysze wiedzą, czego chcą, dokąd idą? Mówią, że trzeba owładnąć fabryki. Dziecińśtwo! Zniszczyć fabryki? Prędzej! To możliwe! I cóż potem? Nad kim odniesiemy zwycięstwo?

I DELEGAT *(ponuro)*. A to, cośmy już przecierpieli, to na nic?

2 DELEGAT *(gniewnie)*. Nad tem można było rozmyślać dawniej. Teraz zapóźno. Pan sam mówił przedtem inaczej!

KAZIMIERZ *(gorąco)*. Być może. A może nie zrozumieliśmy się dobrze. Nie mniej zdaję sobie sprawę ze strasznej odpowiedzialności... Towarzysze! Pomyślcie tylko! Z naszych złudzeń pierzchło wiele. Chcecie prowadzić braci pod grad kul karabinowych? Chcecie usłać ziemię trupami? Wszak wy macie także rodziny, macie żony, dzieci...

DELEGAT 2 *(ponuro)*. Niechaj! Przyjdą inni i pomszczą nas.

DELEGAT I *(j. w.)*. Co ma być, to będzie.

DELEGAT 2. Pan już z nami nie chce iść. Tutaj panu lepiej! *(rozgląda się z odcieniem ironii)*.

DELEGAT I *(z głębokim żalem)*. Nasza krew tańsza od krwi panów! Nie potrzebujemy jej żałować. I nie mamy powodu żałować innej.

DELEGAT 2. Rażeśmy poszli, to pójdziemy do końca *(wstaje)*. Co tu mówić długo. Pan nie chce z nami?

DELEGAT I. Niech panu będzie na zdrowie.

KAZIMIERZ *(wzruszony)*. Nie zrozumieliśmy się! Znacie moje życie! Nie możecie posądzać!...

DELEGAT 2 *(przerywa)*. E, my się na tych fajnościach nie rozumiemy. *(do delegata I-go)*. Chodźcie. Nie mamy tu co robić.

DELEGAT I *(szorstko)*. Nie chce pan przyjść na wiec?

KAZIMIERZ. Powiedziałem, dlaczego. Na miłość Boska, ludzie, opamiętajcie się! Zrozumiejcie, że to szaleństwo, że...

DELEGAT 2. O tem czas był przedtem gadać. Do widzenia *(wdali zaczynają grać na fortepianie pieśń Anikry z „Peer Gynta“ Griega i z przerwami grają do końca aktu)*.

DELEGAT I. Do widzenia.

(Obaj delegaci wychodzą bez pożegnania. Kazimierz zostaje przez chwilę sam. Wchodzi od jadalnego pokoju Ludka).

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

8

Przekład z angielskiego.

— Jeżdżę od dzieciństwa.

— Pani może tu kupić ślicznego konia za szesnaście funtów,— powiadomił ją Batucz.

— Znajdź mi dobrego konia, konia z ogniem, a ja go nabędę,— rzekła Domini. — Pojadę daleko w pustynię, daleko od świata całego.

— Pani nie pojedzie sama.

— Dla czego?

— W pustyni są rozbójnicy.

— O! wezmę rewolwer,—rzekła Domini niedbale,—ale pojadę sama.

Byli już teraz blizko rynku, i szmer głosów dobiegał do nich, z nawoływaniami nosowemi, z modleniem proszących żebraków i z dzikim rykiem osłów. Na końcu małej uliczki, dokąd przyszli, Domini ujrzała otwartą wielką przestrzeń, pośrodku której stał szereg kolumn, nakrytych spiczastym dachem. Dokoła tego przybytku były arkady z mrowiącym się tłumem arabów, a pod środkowym dachem rój postaci wchodził i wychodził, jak muchy snujące się na kawale strawy, porzuconym w miejscu słonecznem.

— Jakie mnóstwo narodu! Czy wszystko to — mieszkańcy Beni-Mora?—zapytała.

— Nie! przychodzą tu ze wszystkich stron pustyni, by kupować i sprzedawać. Leczci, którzy sprzedają, w przeważnej ilości są Mozabitami.

Małe dzieciaki w jasno-barwnych łachmanach okrążyły tańcząc Domini, trzymając do góry miedzianobarwne rączyny i wrzeszcząc piskliwie:„'Msee,M'dame! 'Msee,M'dame!“ Zdeformowany kaleka, który wyglądał, jak ślimak roskręcający się, pełzał dokoła jej stóp, patrząc na nią wzrokiem strasznym, zezowatym i głosem rozkazującym porykując jakieś zaklęcia arabskie, w których słowa „Allah-el-Akbar“ ciągle powracały. Wielki murzyn, z długim czubem włosów, zwieszającym się z głowy ogolonej, chodził krok w krok za nią, przewracając wyłupiastemi oczyma, w których dwa żółte promyki czychały, i starając się zwrócić na siebie uwagę, chociaż sam nie wiedział— czem. Ze wszech stron dorodni mężczyźni z nagiemi rękoma i nogami, w wiewających się białych szatach, zbliżali się ku niej zwolna, patrząc bacznie swemi błyszczące-

mi oczyma, których wyraz zdawał się raczej oznajmiać pełne godności uznanie, niźli zwykłą ciekawość. Nozdrza Domini napełniły się całą mieszaniną zapachów, które szły od ludzi, ubranych w szaty wełniane, od owoców, rozłożonych w plecionych kobiałkach, od okrągłych zamkniętych bukietów różanych, szczelnie otulonych zielonemi liśćmi, od pęków płonących kadzideł, od surowej strawy, od ambry i silnych perfum w szklanych flakonach, ozdobionych złotem, olejku różanego, kwiatu pomarańczowego, geranium i bzu białego. W błyszczącem świetle słonecznem dźwięki, zapachy i ruchy mieszały się i były prawie boleśnie żywe, pełne myśli i uduchowienia.

Gdy tak wolno odbywała wędrówkę pośród tego tłumu, a Batucz torował jej drogę grą sprawną swoich silnych ramion i mocnych rąk, dziwiła się, jak bardzo czuje się, jak u siebie, pośród tego dzikiego i wyglądającego na nieoświecony—narodu. Nie miała uczucia sromania się ich zbliżenia, ani wrażenia osobistego niesmaku z zetknięcia się z nimi. Gdy oczy jej napotkały wypadkiem które z oczu dokoła—badawczych i śmiałych, skłonna była do uśmiechu przychylnego, jakby poznając tych synów słońca, którzy zdali jej się nie być obcymi, pomimo języka nieznanego, który dziko się miotał w ich gardłach. Nie mniej atoli nie pragnęła obecnie pozostawać zbyt długo pośród nich. Zakreśliła sobie otrzymanie ogólnego i zlekka pełnego pierwszego wrażenia z Beni-Mora, a iżby to się spełniło, wiedziała, że musi uchronić się od ściślejszego zbliżenia do nich. Chciała objęcia z lotu ptaka: wyżyny, czatowni i trochy samotności. Tak tedy nie zwracała uwagi na wołania poważnych kupców mozambickich, a i bezustanne gadanie powiadomiającego Batucza prześlizgiwało się koło jej niesłyszących uszu.

— Nie chcę tu pozostawać — rzekła do niego.—Chcę tylko kupić trochę perfum. Gdzie je tu mogę dostać?

Smukły młodzian, który czuwał tuż obok nad tacą drewnianą, przeciągnął, ująwszy w delikatne palce, długą buteleczkę, zapieczętowaną i opatrzoną małą etykietą, lecz Batucz odsunął jego rękę.

— Po perfumy musimy pójść do Ahmeda, pod arkady.

Przeszli słońcem zalaną przestrzeń i stanęli przed ciemną izbą, wgrążoną nieco niżej poziomu uliczki w zapadłym kątku. Cienie tu się zgromadziły, a w ich zmroku surowym Domini ujrzała zgiętą białą postać, wspartą o mur poczerniały, i usłyszała głos stary, szemrzący, jak brzmienie pszczoły nasenne. Handlarz pertum był wgrążony w Koran, tyłem do rzeszy kupującej. Batucz już chciał krzyknąć na niego, gdy Domini powstrzymała go szybkim gestem. Pierwszy raz bowiem tajemnica, która skręca się, jak wielki, czarny wąż, w świecącem sercu Wschodu, tknęła ją i przykuła, tajemnica, w której ospałość i dewocya mieszały się ze sobą. Biała postać kołysała się w tył i naprzód, ponury głos brzęczący śląc razem, i znowu zdało jej się, że słyszy odległy zew fanatyczny, szmer fatalizmu, który przeniknąć pragnęła.

— Ahmeda!

Batucz zawołał. Głos jego padł, jak kamień z procy. Kupiec odwrócił się zwolna, bez pośpiechu, ukazując swe orle lico, poorane zmarszczkami, okępione białemi włosami, roziskrzone oczyma, które błyszczały z okrutną wyrazistością wzroku jastrzębia. Po krótkiej wymianie słów po arabsku, powstał ze swego siedzenia i podszedł ku przodowi izby, gdzie była mała lada. Uśmiechał się teraz z wdziękiem, który był niemal niewieści.

— Jakich perfum pani sobie życzy?—zapytał po francusku.

Domini patrzała na niego, jak na głęboką tajemnicę, lecz z otwartością badawczą, która jej była właściwą, z beztrwożnością tak bezwzględną, iż wielu wprowadzała w zakłopotanie.

— Proszę, daj mi pan coś wschodniego—nie fiołki i nie bez.

— Ambra—rzekł Batucz.

Kupiec, wciąż uśmiechając się, sięgnął do półki, ukazując ramię, jak gałąź bronzową, i wziął stamtąd szklaną butlę, okrytą czerwonemi i zielonemi znakami. Wyjął z niej korek, kazał Domini zdjąć rękawiczkę, dotknął jej obnażonej dłoni korkiem, zatem wielkim palcem swej ręki wytwornie roztarł kroplę perfumy, która została na jej skórze, aż póki się nieco nie zaczerwieniła.

— Teraz proszę powąchać, — polecił.

Domini spełniła polecenie. Perfumy pachniały trochę lekarstwem, lecz woń ich napełniła mózg Domini widmami egzotycznemi. Zamknęła oczy. Tak, był w nich dech Afryki. O! jak daleka była od swego dawnego życia i dni swych pustych. Dywan czarodziejski istotnie poniósł ją—i oto jest teraz w dziwnym kraju, gdzie wszystko ma do poznania.

— Proszę dać mi trochę tych perfum,—rzekła.

Kupiec nalał ambry do flakonu, w którym zalśniły one, jak nitka w szkle, zważył ją na szalkach i podał cenę. Batucz począł się odrazu droczyć gwałtownie, lecz Domini powstrzymała go.

— Zapłać mu, — rzekła, dając Batuczowi sakiewkę.

Handlarz perfum wziął z godnością monetę, odwrócił się, opuścił się znowu na swe siedzenie przy murze poczerniałym, podniósł księgę o wielkich kartach, która leżała na podłodze. I znowu się zakołysał w tył i naprzód, rytmicznie i sprawnie. I znowu głos pszczoły nasenny zabrzęczał w cieniu. Hołdownik i Prorok stał przed tronem Allaha.

A kobieta została odsunięta daleko, jak owo kobieta—śród białoobleczonych mężów Afryki.

— Teraz, Batucz, zaniesiesz perfumy do hotelu, a ja pójdę do ogrodu.

— Sama? Pani nie trafi.

— Zapytam o drogę.

— Niepodobna! Będę towarzyszył pani do bramy. Tam będę na panią oczekiwał. Książę pan nie pozwala arabom wchodzić z cudzoziemcami.

— Bardzo dobrze,—rzekła Domini.

Handlarz perfum sprowadził na nią sny. Nie była obecnie skorą do towarzystwa i chciała pozostać sama w ogrodzie. I gdy tak szli ku niemu w słońcu, przez wązkie drogi, na których leniwi arabowie leżeli ze szczęśliwą bezcelowością, Batucz mówił jej o księciu Anteonim, właścicielu tego ogrodu.

Oczywiście, książę był wielką osobistością w Beni-Mora. Batucz mówił o nim z szacunkiem przeświadczonym, opisując go, jako bajecznie bogatego, bajecznie szlachetnego względem arabów.

— Nie daje nic nigdy francuzom, proszę pani, ale podczas jego tu pobytu, w każdy piątek na sabat nasz przychodzi do bramy z workiem pieniędzy w ręku i każdemu arabowi, który tam jest, daje po pięć franków.

— Któż on jest? Francuz?

— Włoch, proszę pani; ale on ciągle podróżuje i wszędy, gdzie jest, zakłada ogrody. W samej Afryce ma ich trzy, a w jednym z nich trzyma wiele lwów. Gdy podróżuje, ma z sobą sześciu arabów. Kocha tylko arabów.

Domini począł interesować ów dziwny hodowca ogrodów, który pielgrzymował po całym świecie, jak hrabia Monte-Christo.

— Czy on młody? — zapytała.

— Nie.

— Żonaty?

— Zkąd znowu! Zawsze samotny. Czasami zjeżdża tu i bawi ze trzy miesiące, lecz nikt go nigdy nie widział po za wrotami ogrodu. A czasami lata całe niemasz go w Beni-Mora. Lecz teraz bawi tu. Dwudziestu arabów pracuje zawsze w ogrodzie, a nocą czuwa dziesięciu arabów ze strzelbami, jedni w namiotach i pod dachem, drudzy pośród drzew.

— Czyż tam niebezpiecznie w nocy?

— Ogród dotyka pustyni, a ci, co w pustyni są bez oręża, są — jako ptacy w powietrzu bez skrzydeł.

Wyszli teraz poza siedziby ludzkie na szeroki i daleki gościniec, do którego z lewej dotykała gleba, która była pod uprawą, drzewa owocowe, a dalej olbrzymie palmy, z pośród trzonów których widać było kamieniste przestrzenie pustyni i wierzchołki szaroniebieskich, różem zabarwionych gór Z prawej był cienisty ogród z fontannami i kamiennemi ławkami, a poza nim stał olbrzymi biały pałac w stylu maurytańskim, z dachami w kształcie tarasów i z wysoką wieżą, okraszoną zielonemi i pawiowo-niebieskiemi dachówkami. W przestrzeni, pomiędzy licznemi palmami, widać było sporo nizkich, nędznych lepianek brunatnego koloru. Droga, jak daleko wzrok sięgał, szła prosto w dal poprzez olbrzymie aleje palmowe, których pierzaste wierzchołki kołysały się wdzięcznie w łagodnym wietrzyku, który wiał od pustyni. Na wszystkiem były potoki złota i błękitu. Promienność ślepiąca czyniła wszystko miłem i szczęsnem.

— Jakie prześliczne światło!— nie mogła się powstrzymać Domini od okrzyku, patrząc wzdłuż drogi aż do punktu, gdzie białość jej ginęła w oceanie ruchomym drzew.

Batucz przytwierdził bez zachwytu, wyrósł był bowiem w tem świetle.

— Kiedy wrócimy z ogrodu, zwiedzimy wieżę,— rzekł, wskazując na pałac maurytański —Jest to hotel, lecz jeszcze nie otwarty, ale ja znam odźwiernego. Z wieży pani zobaczy wszystko, co jest w Beni-Mora. A oto wioska murzyńska.

Szli zwolna zapyloną drogą tej wioski. Z obu stron jej, tam gdzie nizkie brunatne chaty gliniane rzucały cień, wielu włościan, ubranych w szaty z jaskrawej wełny, drzemało lub rozmawiało leniwie. Dziewczątka w krzyczących barwach pomarańczowych, z tatuowanemi czołami, obwieszone skórzanemi amuletami, biegały tam i z powrotem, goniły się z wrzaskiem i głośnym chychotem. Nagie dzieciaki, których golone głowy dawały muchom schron ciepły, patrzały na Domini z jasną pustką wyrazu. Na krańcu drogi nie osłonięte kobiety przekomarzały się ze sobą, mieląc zboże w żarnach pierwotnych lub zwijając wełnę na drewniane motki. Głowy ich były osnute warkoczami sztucznemi, sporządzonemi z wełny, w których przytwierdzone były srebrne ozdoby cudaczne, a czarne ich szyje i ręce dźwięczały łańcuchami i manelami, wysadzanemi kawałkami czerwonego koralu i wielkiemi ciemnemi kamieniami, niebieskiemi i zielonemi. Niektóre z nich wołały czelnie na Batucza, a on im odpowiadał z niefrasobliwą bezczelnością. Drzwi palmowe jednej z chat były otwarte, i Domini zajrzała do wewnątrz. Ujrzała tam ciemną przestrzeń z podłogą i ścianami z gliny, pułap z drzewa palmowego i chrustu, nizki tapczan z gliny bez dery lub jakiegokolwiek okrycia.

— Czyż oni nie mają sprzętów?—zapytała Domini.

— Nie mają. Po co im to? Cały dzień mieszkają na słońcu, a na noc tylko idą tam spać. Czy pani weźmie mnie z sobą do Londynu, kiedy będzie wracała?—rzekł naraz chytrze i całkiem niespodzianie.

— Nie wracam do Londynu przez bardzo długi czas,—odrzekła mu ze stanowczością.

— Pani zabawi tu wiele tygodni?

— Może nawet — miesięcy. A może nawet pojadę dalej w pustynię. Tak jest, muszę to zrobić.

— Idąc białą drogą w pustyni, wciąż naprzód i naprzód, przez wiele dni, doszlibyśmy wreszcie do Tombuktu, — rzekł Batucz. — Lecz bardzo prawdopodobnie, że bylibyśmy zabici w drodze przez Tuaregów. Jest to szczep dziki i nienawidzący cudzoziemców.

— Czyżbyś się bał iść tam?— spytała go Domini ciekawie.

— Czegożbym się miał bać?

— Żeby cię nie zabito.

Spojrzał na nią łagodnie zdziwiony.

— Dlaczegoż miałbym się obawiać śmierci? Wszyscy musimy przejść przez te wrota. Dziś, czy jutro — czy to nie wszystko jedno?

— Więc tedy nie boisz się śmierci?

— Oczywiście, że nie. A pani się boi?

Spojrzał na Domini z prawdziwem zdumieniem.

— Nie wiem,— odrzekła.

— A oto i willa Anteoni.

Batucz wzniósł rękę i wskazał. Skręcili w bok z traktu do Tumbuktu, pozostawili za sobą wioskę i wyszli na wązki szlak, który szedł równolegle z pustynią. Drzewa palmowe szemrały z prawej strony, młode zboże falowało, wązkie bruzdy ziemne świeciły płytką wodą. Z drugiej atoli strony drogi była jałowość bez kresu; szeroki, kamienisty rozłóg wielkiego łożyska rzeki, Ued-Beni-Mora, dalej nizki grunt skalisty—a dalej niezmierzone płaszczyzny powietrzne, rozciągnione w przestwór — w obszary świecące słońca. W pewnej odległości wznosił się oślepiający biały mur nad pustynią w miejscu bez cienia, i Domini ujrzała wązki o dwu skrzydłach biały dom z płaskim dachem i nie wielu strzelnicami zamiast okien. Jedno skrzydło wychodziło na wyschnięte łożysko rzeki, drugie, pod prostym do niego kątem, biegło ku gęstwinie palm i kończyła się arkadą z sześciu łuków maurytańskich, przez które przezierał mocny błękit bezchmurnego nieba, tworząc efekt iście teatralny. Za tem widać było całe masy drzew, które wyglądały prawie czarno na tle silnego, oślepiającego blasku ściany, willi i arkad, i silnego szafiru ponad tem.

— Jaki dziwny dom! — rzekła Domini.—Nie ma wcale okien.

— Okna są z drugiej strony i wychodzą na ogród.

Willa odrazu przykuła wzrok Domini. Biała maurytańska arkada, obrzeżająca nagi, drżący błękit, błękit najgłębszego rdzenia nieba, mocny, jak wielki okrzyk niezaćmiony, była piękna, jak arkada mieszkania Dobrych Duchów w zaklętym świecie Czarów. Tajemnica spoczęła na tem mieszkaniu, tajemnica światła, nie mroków, sekret płomienny i rzeczy ukryte o treści złotej.

DCN.

TREŚĆ NUMERU 8-go.

Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
Twardowskiego Zapusty. *L. Romocki.*
Przywódca. *Stefan Krzywoszewski.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI: Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA: Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.